

Lechosław Gwiazdowski

Gdyby nie wojna ...!

Urodziłem się w Warszawie, ale moje świadome lata dziecięce spędziłem w Bydgoszczy. Mój ojciec, za namową mojego przyszłego ojca chrzestnego, wyjechał z Warszawy do Bydgoszczy wraz z moją mamą, mną, moją pięcioletnią siostrą i dziewięcioletnim bratem. Mój ojciec chrzestny, inż. Stefan Ciszewski, zakładając warsztat ślusarski, mający najpierw świadczyć usługi dla przemysłu elektrotechnicznego, chciał doprowadzić do powstania fabryki artykułów elektrotechnicznych o profilu instalacyjnym. Po siedemnastu latach wytężonej pracy i corocznym powiększaniu kubatury pomieszczeń fabryki, liczba pracowników przekraczała już 600 osób. System dwuzmianowej pracy umożliwiał lepsze wykorzystanie pomieszczeń fabryki, a to pozwoliło na luksus posiadania własnej drużyny piłkarskiej, dla celów reklamowych. Fabryka inż. Stefana Ciszewskiego wystawiała swoje produkty zarówno na Międzynarodowych Targach Poznańskich jak i Targach Lipskich.

W tych warunkach, ja nie miałem żadnego problemu z wyborem mojego przyszłego zawodu, bo miałem zapewnioną pracę w fabryce mojego ojca chrzestnego. Po zdaniu matury pojechałbym do Warszawy, gdzie studiowałbym na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Stało się inaczej i stąd ten tytuł: Gdyby nie wojna...!

Jeszcze przed wybuchem wojny pojawiły się oznaki zbliżającej się tragedii. W Bydgoszczy i nie tylko Bydgoszczy, zaczął znikać bilon, a to utrudniało znacznie realizację płatności za kupowane towary. W Bydgoszczy i jej okolicach mieszkało dużo obywateli polskich, pochodzenia niemieckiego. Było ich tak dużo, że zaczęli szereg lat wcześniej budować dla siebie nowe gimnazjum. W Bydgoszczy było lotnisko. Piloci zwrócili uwagę na fakt, że pojawiające się budynki gimnazjum tak były zaplanowane, by razem tworzyły widoczną z góry swastykę. Jest rzeczą zrozumiałą, że władze polskie dalszą budowę gimnazjum wstrzymały.

Wracając do spraw związanych z moją osobą, to na osiem godzin przed pierwszymi bombami jakie spadły w okolicy dworca kolejowego, ja kąpałem się beztrąsko w oddalonym od Bydgoszczy około 20 km Jeziorze. Miałem rower, więc nie byłem uzależniony od innych środków lokomocji. Po powrocie do domu, dowiedziałem się, że w czasie mojej nieobecności byli moi koledzy, żeby zobaczyć się ze mną. Do spotkania już nie doszło.

Następnego dnia zaczęli do Bydgoszczy przyjeżdżać z okolicznych wiosek Niemcy. Jak się potem okazało, byli uzbrojeni. W Bydgoszczy było kilka kościołów ewangelickich. Z wież tych kościołów Niemcy strzelali do polskich żołnierzy. Polacy byli zmuszeni do samoobrony, a oficjalne czynniki niemieckie określiły to jako napaść Polaków na niemiecką ludność mieszkającą w Bydgoszczy. Po wejściu wojsk niemieckich do Bydgoszczy zaczęła się prawdziwa „krwawa niedziela”. W Bydgoszczy, z kościoła stanowiącego jakby jeden z boków Starego Rynku, w czasie mszy świętej, żołdacy hitlerowscy wyciągnęli księdza odprawiającego mszę świętą i pod murami kościoła rozstrzelali. Ksiądz przez upadek oparł się ręką o ścianę kościoła. Pozostał nieusuwalny ślad. Ludność polska przychodziła by go zobaczyć. Hitlerowcy zburzyli kościół, a oficjalnie twierdzili, że zniszczyły go alianckie samoloty. Zaczęły się dla nas tragiczne czasy. Mój ojciec chrzestny umarł jeszcze przed wojną, a jego żona wraz z córką i zięciem byli w Warszawie i tam zastała ich wojna. Po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie, powrócili do Bydgoszczy, do swojej willi. Natychmiast zostali aresztowani. Potem okazało się, że zostali zamordowani. W tych warunkach zdałem sobie sprawę, że nie będę mógł liczyć na pewną pracę w byłej fabryce mojego ojca chrzestnego. Na razie rozpoczął się nowy etap mojego życia, ale jaki? Trwała wojna i niepewność jutra !

Pewnego dnia, moja mama instynktownie spojrzała przez boczne okno, by zobaczyć co się dzieje na ulicy Długosza. Zobaczyła, że żołnierze niemieccy wyprowadzają z domów młodych Polaków, prawdopodobnie do pracy na wsi lub w fabrykach. Widząc co się dzieje, powiedziała bym się szybko rozebrał, położył na łóżku i przykrył kołdrą. Sama powyciągała jakieś lekarstwa. Z nami mieszkała siostra ojca, znająca język niemiecki. Za chwilę usłyszeliśmy walenie do drzwi, chociaż był dzwonek. Po otwarciu drzwi, oficer niemiecki wszedł od razu do pokoju, w którym ja leżałem. Moja ciocia od razu powiedziała, że jestem poważnie chory. Oficer spojrzał na mnie i powiedział: taki by nam się przydał. Chyba dobrze odegrałem swoją rolę. Szybko wyszedł, a myśmy z ulgą odetchnęli. Następnego dnia ojciec będąc w fabryce, załatwił przyjęcie mnie do pracy w dziale przygotowywania towarów do wysyłki. Fabryka działała dalej, bo sprzęt tego typu był bardzo potrzebny. Sprawę mojego przyjęcia ułatwił fakt, że rolę tymczasowego dyrektora fabryki pełnił jeden z ważniejszych urzędników biura fabrycznego, uchodzący za Polaka o niemieckim nazwisku. Praca w tej fabryce, tak potrzebnej Niemcom, chroniła nas przed wywózką do Niemiec. Zbliżał się dzień 11 listopada 1939 roku. Idąc tego dnia do pracy, zostaliśmy zaskoczeni faktem, że wszyscy idący do pracy, są zawracani do domu. Byliśmy

zaskoczeni, ale i zadowoleni, że Niemcy niejako dają nam dzień wolny od pracy, ale to miało miejsce tylko w roku 1939.

W czasie wojny pojawiło się u mnie zainteresowanie chemią. Przed wojną chodziłem do gimnazjum typu klasycznego, w którym obok obowiązkowej łaciny wybrałem język niemiecki. Podstawowa znajomość języka niemieckiego pozwoliła mi na kupowanie książek z zakresu chemii. Jeżeli księgarnia nie dysponowała potrzebną książką, to składałem zamówienie na konkretną książkę. Ostatnią z zakupionych książek otrzymałem za pobraniem należnej kwoty w przeddzień ucieczki wojsk niemieckich z Bydgoszczy. W miarę poznawania tajników chemii, byłem już w stanie trochę eksperymentować. Moja mama zauważyła, że za szybko znika kupowany ocet. To była moja „zasługa”! Mnie potrzebny był ocet do preparatywnego otrzymywania acetonu. To był mój pierwszy preparat otrzymany na drodze przemian chemicznych. Postanowiłem poszerzyć wyposażenie w sprzęt laboratoryjny. To nie było trudne. Ówczesne drogerie prowadziły również sprzedaż szkła laboratoryjnego różnego typu jak i chemikalia. Moje możliwości eksperymentowania zmniejszyły się znacznie, gdy musieliśmy się przeprowadzić do małego domu przy ul. Grunwaldzkiej. Polacy nie mogli mieszkać w dużych, ładnych mieszkaniach.

W miarę upływu czasu, zaczęła się rodzić podziemna Armia Krajowa. Pewnego dnia, kierownik fabrycznego laboratorium badawczego, który był osobiście zaangażowany w sprawy aktywnego powiększania liczebności członków AK, zaproponował mi wstąpienie do służb specjalnych w charakterze łącznika. Po zaprzysiężeniu, wybrał się ze mną na krótki spacer. Była już jesień, więc powiedział mi, że gdyby nas rozdzielono, to na pytanie o czym rozmawialiśmy, mam odpowiedzieć, że rozmawialiśmy o zakupie ziemniaków na zimę. W ten sposób obydwaj udzielilibyśmy takiej samej odpowiedzi. W czasie dalszego spaceru pokazał mi słownie dwóch panów idących z przeciwnego kierunku. Powiedział mi, że ten pan, który będzie bezpośrednio mnie mijał, będzie moim kontaktem. Minęliśmy się nie zatrzymując. Jeżeli nawet ktoś nas obserwował, to nie miał zielonego pojęcia, że kontakt został zawarty. Armia Krajowa była znana z tego, że była najlepiej zorganizowaną armią podziemną. Inne służby AK były zorientowane o mojej roli, a moja praca w magazynie fabryki spowodowała, że zapoznałem się niby przypadkiem z pracownicą w hali maszyn. Jej brat aktywnie pracował w AK w grupie łączności radiowej. Ja byłem pracownikiem magazynu i miałem dostęp również do elementarnych części składowych montowanych produktów. W ten sposób, pod przykrywką znajomości chłopca z dziewczyną, mogłem dostarczać różne elementy konstrukcyjne dla jej brata. By mieć czasami bezpośredni

kontakt z jej bratem, ona udzielała mi lekcji gry na pianinie. W pewien sposób potwierdziłem to, grając jeden raz poloneza Ogińskiego, w stołówce pracowniczej. Polscy robotnicy mieli łzy w oczach. Na powtórny występ już nie pozwoliłem sobie.

W dniu, w którym otrzymałem ostatnią z zamówionych książek, miałem wyznaczony w fabryce nocny dyżur wraz z ojcem. Takie dyżury wprowadzono już wcześniej, z uwagi na ewentualne przeloty obcych samolotów. Wracając z nocnego dyżuru, musieliśmy dojść do mostu kolejowego nad Brdą, przejść ścieżką mostową do końca mostu, a potem dalej, jeszcze około pół kilometra do domu. Dochodząc do mostu, zobaczyliśmy oficera niemieckiego i żołnierza z karabinem. Oficer zatrzymał nas i zapytał skąd i dokąd idziemy. W tym czasie żołnierz stanął za naszymi plecami. Po otrzymaniu odpowiedzi, że wracamy do domu po nocnym dyżurze w fabryce, wpuścił nas na most. Dochodząc do połowy mostu, zobaczyliśmy na drugim końcu stojącego, niechlujnie ubranego sowieckiego żołnierza, który bez słowa nas przepuścił. Dla nas było jasne, że na moście nad Brdą przekroczyliśmy linię frontową i że następnego dnia nie będziemy szli do pracy. Dla nas okupacja hitlerowska już się skończyła. Zaczął się nowy etap życia, tylko jaki?

Powróciliśmy do naszego, przedwojennego mieszkania możliwie jak najszybciej, by uchronić mieszkanie przed ewentualną dewastacją. Dla mnie najważniejszą sprawą było nadrobienie zaległych lat szkolnych i zdanie matury. Miałem możliwość zaliczyć materiał czwartej klasy gimnazjalnej i obu klas licealnych oraz zdać maturę w ciągu siedmiu miesięcy. Pomimo ułatwień był to bardzo duży wysiłek.

Jedynie z chemią dałem sobie radę celująco. Chemię zaliczyłem nadzwyczajnie, a nauczyciel chemii, gdy byłem już po maturze, przysłał do mnie studentkę medycyny, bym udzielał jej korepetycji. Z przykrością musiałem jej odmówić, bo wybierałem się na studia do Wrocławia. By mieć bezpłatny bilet na przejazd, załatwiłem sobie papiery przesiedleńca. W podróż wybrałem się w piątek, by w sobotę móc już załatwić sprawę przyjęcia na Wydział Chemiczny Politechniki Wrocławskiej. Nie przypuszczałem, że spotka mnie niezbyt miła przygoda. Wsiadanie do pociągu nie była takie łatwe, bo zawsze było więcej chętnych do wyjazdu niż miejsc w podstawionych wagonach. Trafiłem na wagony starego typu w których każdy przedział miał osobne drzwi wejściowe, a wzdłuż był długi stopień po którym w czasie jazdy pociągu konduktor przechodził od jednego przedziału do drugiego. Chętnych do wyjazdu było bardzo dużo. Ja, mając ciężki plecak i walizkę, nie miałem szans na dostanie się do wagonu. Był już listopad, a ja zdecydowałem się na jazdę stojąc na zewnętrznym stopniu. Lewą ręką trzymałem się poręczy, a w prawej trzymałem walizkę. Pomimo tych trudności zdecydowałem się na taką podróż i dojechałem szczęśliwie do

Inowrocławia. Pociąg już ruszał, gdy nagle doskoczył tuż przy mnie maruder radziecki i trzymając się poręczy, drugą ręką chwycił za skraj rączki mojej walizki i groził, że będzie strzelał jeżeli nie dostanie walizki. Pociąg już ruszył, ale nie opuścił jeszcze peronu. Ja, nie wiele myśląc, silnie szarpnąłem rączką walizki. Ciężka walizka oderwała się od rączki i upadła na peron. Żołdak krzyknął gniewnie, a ja nie tracąc czasu, trzymając w ręce uchwyt walizki z prawidłowym odrzutem ciała ukośnie do tyłu, zeskoczyłem na peron. Gdyby nie ciężki plecak, zeskok udałby się. Stało się inaczej. Upadłem na peron szorując nosem po peronie. Jakby tego było za mało, plecak rozdarł się, a zawartość plecaka rozsypała się po peronie. Jakoś bez problemu wstałem, pozbierałem rozsypaną zawartość plecaka i ruszyłem, trzymając plecak oburącz, w kierunku budynku dworcowego. Minąłem walizkę i po kilku metrach postawiłem plecak na peronie. Wróciłem po walizkę. Z walizką postąpiłem podobnie jak z plecakiem. Takim ruchem posuwisto-wahadłowym przeniósłem walizkę i plecak do budynku dworcowego. Tam opatrzono mi zraniony nos. Potem poprosiłem o mocną nitkę i igłę. Zabrałem się do zszywania rozdartego plecaka, a potem do naprawy walizki. Czasu miałem aż za wiele, bo następny pociąg miałem dopiero następnego dnia. Po nieprzespanej nocy wsiadłem już normalnie do pociągu i pojechałem do Wrocławia. W wyniku swego rodzaju przygody, jaka przydarzyła się w Inowrocławiu, do Wrocławia przyjechałem w niedzielę. Trzeba było pomyśleć o noclegu. Trafiłem do sali w której poustawiane były żelazne łóżka, ale bez pościeli. Sprężyny takiego łóża ponakrywane były gazetami i to musiało wystarczyć. Następnego dnia wziąłem swoje bagaże i pojechałem do Politechniki Wrocławskiej. Tam skierowano mnie do prof. Trzebiatowskiego, który poinformował mnie, że lista kandydatów na Wydział Chemiczny jest już zamknięta, ale na Wydziale Hutniczym są jeszcze wolne miejsca. Zrobiłem jak poradził prof. Trzebiatowski. Studiowanie na Wydziale Hutniczym nie odpowiadało mi, ale biorąc pod uwagę, że to też chemia, a ponadto programy studiów na pierwszym roku prawie nie różnią się, więc zostałem studentem wydziału Hutniczego. Zaczął się rok akademicki, a ja ucząc się sumiennie, równocześnie bardzo pragnąłem, by Wydział Hutniczy we Wrocławiu zlikwidowano. Wtedy istniałaby możliwość przeniesienia się na inny Wydział Politechniki Wrocławskiej. Pod koniec roku akademickiego dowiedzieliśmy się, że naprawdę Wydział Hutniczy będzie zlikwidowany, a studenci tego Wydziału będą mogli przenieść się na dowolny Wydział Politechniki Wrocławskiej, lub przenieść się do Krakowa. Radość moja była ogromna. Spokojny poszedłem do prof. Trzebiatowskiego, by zaliczyć chemię. Prof. Trzebiatowski zapytał mnie, czy chcę zaliczyć chemię jako hutnik, czy jako chemik, bo jeżeli będę zdawał jako hutnik, a będę chciał zostać we Wrocławiu, to będę

musiał jeszcze raz zdawać, ale jako chemik. Nie miałem zamiaru dwa razy zdawać egzamin, zdecydowałem, że będę zdawać jako chemik. Zostałem we Wrocławiu! Będąc już na czwartym roku studiów, otrzymałem dwie legitymacje. Jedną jako student czwartego roku studiów, a drugą jako pracownik Politechniki Wrocławskiej w Zakładzie prowadzonym przez prof. Rabka. Po ukończeniu studiów w roku 1950, prof. Rabek zaproponował mi podjęcie pracy doktorskiej ukierunkowanej na ciekłe tioplasty z azotem aminowym. Zabrałem się do skrupulatnego przeglądu dotychczasowych publikacji, o ile takie istniały. Śledziłem również bieżące publikacje. Wiedziałem, że to jest swego rodzaju loteria, kto zdoła wcześniej wykonać, a szczególnie obronić pracę dotyczącą konkretnego tematu. W międzyczasie, prawie na początku roku 1953, przyjechał ze Szczecina do Wrocławia prof. Rozner, dziekan Wydziału Chemii ówczesnej Szkoły Inżynierskiej, by zwerbować dla tej uczelni pracowników Politechniki Wrocławskiej dla wzmocnienia kadry naukowej szczecińskiej uczelni. Wśród chętnych do przeniesienia się byłem również ja. Wówczas byłem już żonaty, ale mieszkalem wraz z żoną w wynajętym pokoju, dość daleko od miejsca pracy. Uczelnia szczecińska gwarantowała otrzymanie mieszkania w stosunkowo krótkim czasie, a tymczasowy mój pobyt w hotelu opłacałaby uczelnia szczecińska. Dla mnie to było bardzo ważne, bo za niecałe trzy miesiące miało się narodzić drugie dziecko. Pierwszym opiekowali się rodzice żony. W marcu pojechałem do Szczecina, gdzie musiałem czekać na mieszkanie. Kończył się kwiecień, a ja nadal czekałem na mieszkanie. Na początku maja zjawiłem się w gabinecie rektorskim. Powiedziałem spokojnie, ale stanowczo, że na początku czerwca spodziewany jest poród dziecka i jeżeli przed tym terminem nie otrzymam mieszkania, to wózek z dzieckiem postawię w gabinecie rektorskim. Dostałem zapewnienie, że jeszcze przed narodzeniem się dziecka dostanę mieszkanie. Rektor dotrzymał słowa. Mieszkanie dostałem na dwa tygodnie przed narodzeniem się córki. Żonę zawiadomiłem, by jak najprędzej przyjechała, a sam zająłem się przygotowaniem mieszkania na przyjazd żony. Teść wysłał podstawowe wyposażenie sypialni. Ja wyposażałem kuchnię w słoiki i puszki z żywnością. Córka urodziła się 1 czerwca 1953 roku.

Początkowo współlokatorzy domu, w którym zamieszkaliśmy, patrzyli na nas jakoś dziwnie. Potem okazało się, że poprzedni lokator tego mieszkania był ubowcem, ale takim, że nawet jego przełożeni mieli go dość. Nikt z naszych współlokatorów nie przypuszczał, że mieszkanie po ubowcu może otrzymać ktoś nie związany z UB. Potem, gdy niby przypadkowo pokazałem sąsiadce nasze świadectwo zawarcia ślubu na Jasnej Górze w Częstochowie, zmieniło się ich zachowanie w stosunku do nas. Teraz mogłem już spokojnie

zająć się swoją pracą zawodową. Najpierw zająłem się wyposażaniem laboratorium w odpowiedni sprzęt, by we wrześniu można było uruchomić zajęcia laboratoryjne przewidziane programem studiów. Zanim nadeszły zarówno sprzęt laboratoryjny jak i potrzebne chemikalia, pożyczałem to wszystko co byłoby potrzebne z innych laboratoriów. Mój szef realizował swoją pracę doktorską, a po jej obronieniu, mając skuteczne poparcie władz szczecińskiej uczelni, wyjechał na roczny staż naukowy do USA. W czasie nieobecności kierownika Zakładu, do mnie należało prowadzenie zajęć laboratoryjnych studentów trzeciego roku studiów, nadzór nad realizacją prac dyplomowych studentów czwartego roku studiów, kontynuacja prac związanych z umowami z przemysłem. Na poszukiwania literaturowe w bibliotece nie bardzo miałem czas. Po powrocie kierownika Zakładu z USA, wiele się zmieniło. Szybko został zamówiony niemiecki model chromatografu gazowego, a ja zainteresowałem się bardzo aparatem tego typu, bardzo pomocnym przy analizowaniu lotnych mieszanin związków chemicznych. Zajęcie się techniką analizowania lotnych mieszanin przy użyciu chromatografu gazowego było tym momentem, który spowodował, że zainteresowałem się poważnie coraz liczniejszymi metodami analizy instrumentalnej. Na myśl mi nawet nie przyszło, że kiedyś to będzie przedmiot, wprowadzony oficjalnie do zakresu przedmiotów objętych programem studiów, a ja będę w Szczecinie, po obronie pracy doktorskiej, wykładowcą tego przedmiotu.

Po powrocie Kierownika Zakładu ze stażu naukowego w USA, mogłem kontynuować realizację mojej pracy doktorskiej. Moje dalsze poszukiwania literaturowe doprowadziły do wniosku, że tematyka mojej pracy doktorskiej musi być całkowicie zmieniona. By moje bardzo pracochłonne działania, związane zarówno z oczyszczaniem substancji wyjściowych jak i wyodrębnianiem właściwego produktu reakcji nie poszły na marne, wymyśliłem nowy tytuł pracy doktorskiej: „ Niektóre chloroalkilopochodne etylenodwuaminy”. Konkretnym związkiem była: $\text{ClCH}_2\text{CH}_2\text{NHCH}_2\text{CH}_2\text{NHCH}_2\text{CH}_2\text{Cl}$.

Po decyzji zmiany tematu pracy doktorskiej, a dodatkowo śmierci poprzednio proponowanego mi promotora, pojechałem do Warszawy, by w Politechnice Warszawskiej znaleźć nowego promotora. Nie było to łatwe. Nie chcąc powracać z niczym, powiedziałem otwarcie, że promotor potrzebny mi jest tylko ze względów formalnych. To pomogło w otwarciu przewodu doktorskiego w Politechnice Warszawskiej. 12 maja 1964 roku miała miejsce obrona pracy doktorskiej, a 12 czerwca 1965 roku odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów doktorskich.

Moje zainteresowanie się instrumentalnymi metodami analizy chemicznej zaowocowało powierzeniem mi zorganizowania na Wydziale Chemicznym Politechniki

Szczecińskiej, Laboratorium Analizy Instrumentalnej przy Katedrze Chemii Fizycznej i poprowadzeniem wykładów z przedmiotu Analiza Instrumentalna, wprowadzonego do programu dydaktycznego po raz pierwszy. Te zmiany charakteru mojej pracy w Politechnice Szczecińskiej dały mi szansę na wyjazd w 1965 roku, na koszt Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, na Kongres Chemii Czystej i Stosowanej do Moskwy. Tam spotkałem profesora Trzebiatowskiego. Poznał mnie od razu. Wolny czas spędzałem na zwiedzaniu Moskwy. Skorzystałem również z okazji zobaczenia kabiny, w której powrócił na ziemię z kosmicznej wyprawy Gagarin.

Po uzyskaniu tytułu docenta, zostałem powołany z dniem 1 lipca 1968 r. na stanowisko Kierownika Zakładu Analizy Instrumentalnej przy Katedrze Chemii Fizycznej Wydziału Chemicznego Politechniki Szczecińskiej. Bardzo dużo czasu musiałem poświęcać na przygotowywanie się do wykładów jak i trwałym gromadzeniu różnych materiałów literaturowych. Potrzebny był mi łatwy dostęp do zgromadzonych już materiałów. Niejako przy okazji opublikowałem w czasopiśmie „Aktualne Problemy Informacji i Dokumentacji” artykuł o nowym typie karty dokumentacyjnej, powstałej niejako z połączenia karty obrzeźnie perforowanej z kartą przezierną. Obecnie takie karty to już prawie prehistoria.

Czas szybko biegnie, a lata prowadzenia wykładów zrobiły swoje. Po komisyjnym stwierdzeniu u mnie niedomogi mięśni głosowych krtani, zmuszony byłem zwrócić się drogą służbową o przejście na wcześniejszą emeryturę.

W dniu 13 września 1983 roku otrzymałem równocześnie dwa pisma od Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Pierwsze dotyczyło zgody na rozwiązanie stosunku służbowego i przejścia na wcześniejszą emeryturę, a oto tekst drugiego pisma:

Przychylając się do prośby Obywatela Docenta w sprawie przejścia na emeryturę- składam serdeczne podziękowanie za wieloletnią, ofiarną pracę w szkole wyższej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wyrażam uznanie dla dotychczasowej twórczej działalności naukowej, dydaktycznej i organizacyjnej, związanej z kształceniem wielu pokoleń młodzieży i młodej kadry naukowej.